

Rozdział 8 Obleżone miasto

Trzej młodzi misjonarze - choć nieco zmęczeni, ale radośni, wsiedli do jednej z dżonek, będących własnością tubylców, które przywiązane były przy błotnistym brzegu rzeki i ocierali twarze z potu, podczas gdy dżonka zaczęła odbijać od brzegu. Był za nimi dzień pełen trudów. Już wcześniej rano, zaraz po śniadaniu, wyruszyli z Szanghaju i przybyli na wyspę Wusung około południa. Począwszy od tego czasu aż do tej chwili bez przerwy rozdawali traktaty, rozmawiając jak umieli najlepiej - używając szczupłej znajomości języka chińskiego z właścicielami dżonek, których wielu znajdowało się na brzegu, nie można było wprost tych dżonek policzyć, tak ich było dużo! Uwijały się po wodach otaczających Szanghaj, a można było tam widzieć i małe i duże dżonki, takie, w których mieszkaly równocześnie i rodziny właścicieli, spędzające całe swoje życie w swoim pływającym domku. Były dżonki nowe i stare, ale wszystkie były przedmiotem dużego zainteresowania ze strony Hudsona Taylora i jego przyjaciół - Edkimsa i Quartermana.

"Powinniśmy rzeczywiście pójść i opowiedzieć im o Chrystusie", zdecydowali. Jakżeż bowiem ci biedni bałwochwalcy, oddający cześć boską małym figurkom, stojącym na ich półkach i kadzący im rozmaitymi kadzidłami, mogą odwrócić się od wszelkich swoich zabobonów, jeśli nawet nigdy jeszcze nie słyszeli o jedynym prawdziwym Bogu? Dlatego więc poświęcili ten dzień pilnej działalności misyjnej pomiędzy nimi, a równocześnie bardzo się cieszyli z przerwy, choć kilkugodzinnej, w ślęczeniu nad mozolną nauką języka. Teraz byli bardzo z siebie zadowoleni i nareszcie mogli nieco odpocząć, kołysani jak gdyby do snu przez pluskanie wody o boki ich dżonki. Mieszkańcy dżonek, z którymi rozmawiali, byli w stosunku do nich uprzejmi i chętnie przyjmowali czyściutkie małe książeczki, napisane w ich własnym języku, które im wręczali. Niektórzy z nich zapewniali nawet misjonarzy, że po przeczytaniu tych książeczek wręczą je znajomym znajdującym się w portach, do których zdążali. Był to więc pożytecznie spędzony dzień, a teraz, gdy już zapadał zmrok wieczoru, trzeba było tylko jeszcze jednej rzeczy, a mianowicie minąć bezpiecznie okręty cesarskiej floty - a potem już będą w Szanghaju, gdy zapadnie noc.

Ale o to właśnie chodziło, czy im się uda przejechać bezpiecznie koło tych okrętów wojennych! Załoga dżonki była bardzo zaniepokojona, jeśli o to chodzi, i wcale się nie cieszyła z tego, że ci czcigodni młodzi panowie odwlekli powrót aż do tak późnej pory. Jazda tubylczymi dżonkami w czasie dnia była rzeczą stosunkowo bezpieczną - ale zupełnie inną sprawą było przejeżdżanie, pod nosem cesarskich armat po zapadnięciu mroku. Armaty te miały bowiem zwyczaj odzywania się przy najmniejszej nawet prowokacji, a cokolwiek, co poruszało się po wodzie w ciemności, mogło wzbudzić podejrzenie, że to rebelianci szykują jakiś podstępny napad. Właściwie było już za późno na odbycie tej podróży powrotnej do Szanghaju i załoga ich statku odbywała ją bardzo niechętnie. Wreszcie i sami misjonarze zaczęli czuć się nieco nieswojo...

"Jeśli tylko się dowiedzą, że jesteśmy Anglikami i Amerykanami", rzekł Hudson, "to wszystko będzie w porządku". Byli przecież obywatelami neutralnych krajów, których okręty wojenne stały zakotwiczone w porcie i których wojska były gotowe w każdej chwili stanąć w obronie swych obywateli na wypadek, gdyby ich życiu albo mieniu zagrażało niebezpieczeństwo, stąd też mogli się oni poruszać z stosunkowo dużą dozą bezpieczeństwa. "Ale skąd będą wiedzieć, skoro jest ciemno?" Rzeczywiście - ani jasnych włosów, ani też białej skóry twarzy nie można było widzieć o zmroku!... Tylko jeszcze po głosach ich można było ewentualnie poznać, że nie byli Chińczykami. Tylko po głosach! Naraz Edkinsowi przyszła do głowy wspianiała myśl.

"Ja wiem", krzyknął, co zrobimy! Będziemy śpiewać. Będziemy śpiewać wszyscy razem i to pełną piersią, po angielsku - a wtedy ci, którzy obsługują te armaty, będą wiedzieli, że jesteśmy obywatelami państw zachodnich". Dobry pomysł! Co prawda gardła ich były już mocno zmęczone i wysuszone, gdyż już przez cały dzień niemal bez przerwy śpiewali i mówili w związku ze swoją działalnością misyjną, ale zrobili co mogli i gdy tylko się zbliżali do jakiegoś okrętu, który wydawał się być jednostką floty cesarskiej, zaczynali natychmiast prezentować się ze swoim repertuarem pieśni. Dziarsko śpiewali wspólnie jeden hymn po drugim, jakie tylko sobie mogli przypomnieć - i rzeczywiście z wdzięcznością zaobserwowali, że odnosiło to pożądany skutek, gdyż mijali okręt za okrętem i nikt ich nie zatrzymywał, ani nie przeszkadzał im w kontynuowaniu podróży.

Wreszcie ucichli, gdyż już minęli ostatni okręt, gdy nagle marynarze stanowiący załogę ich statku zaczęli nalegać, aby natychmiast znów zaczęli śpiewać!...

Ależ dlaczego? Okazało się, że teraz dopiero zaczęli się przybliżać do okrętów wojennych cesarskiej floty, a że statki które minęli, były tylko nieważnymi jednostkami floty handlowej! "Prędko! Prędko! Śpiewajcie! Śpiewajcie!" syknęli marynarze.

"Boże wielki, pełnyś chwał"; szepnął Edkins i natychmiast zaczął śpiewać, a dwaj jego towarzysze przyłączyli się, towarzysząc mu. A tak po wodzie popłynęły trzy młode głosy obwieszczając gromko, że "...wielbimy Twą potęgę, Panie, Tyś stworzeniom życia dał, Podziwiamy Twe działanie; Jakiś od wieczności był, Tak na wieki będziesz żył". Trzeba było pięciu zwrotek, każda z nich po sześć linijek, aby obwieścić te rzeczy dostatecznie, przy czym jeszcze ostatnią linię powtarzali po dwa razy, aby pieśń tę jeszcze przedłużyć. Ale niestety! Doszli właśnie triumfalnie do końca pieśni w momencie, gdy przejeżdżali tuż obok największego okrętu ze wszystkich w całej flocie! Dlatego też po słowach: "Nie daj przeto zginąć nam!" nastąpiła nagle cisza, podczas gdy trzech śpiewacy z trudem łapali powietrze, bardzo zmęczeni forsownym śpiewaniem. A wtedy z pokładu cesarskiego statku odezwał się złowróżbny głos gongu alarmowego, w który ktoś zaczął bić gwałtownie!

"Co śpiewamy?" zawołał Edkins: "Musimy śpiewać dalej! Nie ma ani chwili do stracenia!" I nie czekając na odpowiedź, zaczął śpiewać jakąś pieśń, podczas gdy Hudson też zaczął śpiewać, ale coś innego. Quarterman wreszcie, jak gdyby natchniony sytuacją, jaka zaistniała w tym momencie, zaintonował: "Niechaj zabrzmią trąby wasze!" Wrażenie, jakie ten muzyczny konglomerat wywarł na słuchających nie było bynajmniej uspakajające i cała załoga okrętu wojennego zaczęła krzyczeć, panicznie zaś wystraszeni członkowie naszej załogi rykiem dawali odpowiedzi przez kilka chwil. Wszyscy wrzeszczeli, każdy coś innego i to na cale gardło. Imperialna Flota podejrzewając, że rebelianci szykują jakiś podstępny atak, gotowi byli go odeprzeć. W momencie, gdy misjonarze byli już niemal pewni, że cesarskie armaty zostały wymierzone w ich kierunku, usłyszeli jakiś autorytetem tchnący głos z okrętu, który zawołał: "Kto tam jedzie?"

"Wielki naród angielski!" chórem odpowiedzieli Hudson i Edkins.

"Naród gwieździstej flagi!" tubalnym głosem dodał Quarterman, Amerykanin.

"Białe diabły, białe diabły!" zawyli nasi marynarze. "Na pokładzie naszym znajdują się białe diabły!"

"Skąd jedziecie, i dokąd?" Padło następne pytanie z okrętu wojennego.

"Do Szanghaju jedziemy". Co robicie?"

"Opowiadają o swoim Bogu. Białe diabły opowiadają o swoim Bogu", wyjaśnili członkowie załogi ich statku. To niezwykle stwierdzenie, jakikolwiek zdawać by się mogło, że spowoduje panikę, w jakiś dziwny sposób odniosło wręcz odwrotny skutek: załoga cesarskiego statku pojęła na czym sytuacja polega. Statkowi pozwolono jechać dalej.

"Co wy sobie myślicie? Jakim prawem, pozwalacie sobie na nazywanie nas białymi diabłami?" zapytali misjonarze, gdy już odpłynęli od okrętu wojennego. "My jesteśmy co prawda białego koloru skóry, ale nie jesteśmy diabłami!" rzekli z wielką powagą. "Jesteśmy wszyscy ludźmi posiadającymi ciało i krew, stworzonymi przez jedyne prawdziwego Boga podobnie jak i wy. Diabły nie posiadają ciała i są niewidzialne. A co więcej, są to złe duchy, wrogowie jedyne, prawdziwego Boga, pełne złych intencji w stosunku do ludzi. One są rzeczywiście demonami! A jeśli chodzi o nas, to możecie przecież z całą pewnością widzieć, że nie jesteśmy demonami, lecz ludźmi takimi samymi jak wy!"

Marynarze byli bardzo pokorni i skruszeni, a to tym bardziej, że jeszcze nie otrzymali zapłaty za przejazd... Przyznali, że popełnili wielkie przestępstwo w stosunku do tak zacnych panów, ale tak bardzo się przelekli złego nastroju komendanta wojennego okrętu, że wprost nie zdawali sobie sprawy z tego co mówią! A co więcej, byli przecież ludźmi niskiego stanu i niewykształconymi, nie umiejącymi przeczytać ani jednej litery, jako, że nigdy nie chodzili do szkoły. Natomiast wspaniałe kraje, z których panowie przyjechali, były słynne z wielkiej kultury, mądrości i wykształcenia, że jest tam zupełnie inaczej, aniżeli w tym ubożuchnym kraju, do którego obecnie przyjechali. Oni byli zaledwie niegodnymi majtkami biednej dżonki i doznali wielkiego oświecenia od momentu, gdy zacni panowie zechcieli poniżyć się, aby wsiąść na ich ubogi statek i przemówić do nich słowami bezcennej mądrości. Dlatego też z całą pewnością nigdy więcej nie zdarzy się to, nawet w obliczu jakiego by nie było nacisku, aby kiedykolwiek o zacnych i czcigodnych panach, pochodzących z wielkiego narodu Brytyjskiego i Kraju Gwieździstej Flagi w podobny sposób się wyrażać.

Misjonarze próbowali wyjaśnić, że się bynajmniej nie gniewają, ani nie czują się obrażeni, a pragnęli tylko, aby im to się stało jasne, iż są istotami ludzkimi i że przyszli do nich z wiadomościami o jedynym prawdziwym Bogu. Gdy dotarli do brzegu rozstali się w najlepszej komitywie. Gdy po chwili obsada dżonki zasiadła do misek gorącego ryżu, z którego unosił się apetyczny zapach i zaczęła go spożywać przy pomocy pałeczek, wszyscy byli zgodni, że białe diabły były bardzo bezpośrednie i zupełnie nieszkodliwe - choć nieco nierozsądni, a że w każdym razie odznaczali się dużą hojnością, jeśli chodzi o szafowanie pieniędzmi.

Hudson natychmiast po wylądowaniu pospieszył w kierunku zwodzonego mostku nad kanałem oddzielającym tę część miasta, w której on mieszkał, a w której mieszkali sami tubylcy. I rzeczywiście - w momencie, gdy się zjawił przy tym zwodzonym moście, mieli już wyciągnąć ostatnią deskę, tak, że była to już ostatnia chwila, aby się móc dostać na drugą stronę! Hudson wrócił do swego mieszkania zmęczony i głodny, ale szczęśliwy. Usiadłszy w swoim wybielonym pokoju, zabrał się do kolacji z ogromnym apetytem. Stanowiła ją miseczka ugotowanego na parze ryżu i cztery talerzyki chińskich jarzyn z siekanym mięsem - a to wszystko jadło się przy pomocy pałeczek, a nie nożem i widelcem! Hudson już całkiem przyzwyczał się do posługiwania się tymi pałeczkami, a także do tego rodzaju kuchni, tak że spożył przed udaniem się na spoczynek wcale treściwy posiłek.

Już minął prawie rok od czasu gdy wsiadał na pokład maleńkiego "Dumfraes" w Liverpool. Przez pierwszych kilka miesięcy po wylądowaniu w Szanghaju przebywał w gościnnym Londyńskim Towarzystwie Misyjnym i tam zatrudnił pewnego Chińczyka w charakterze nauczyciela języka chińskiego. Teraz jednakowoż przeniósł się do chińskiej części miasta, gdzie zamieszkał w starym domku, grożącym w

każdej chwili zawaleniem, w pobliżu tzw. Północnej Bramy, z dala od wygody i bezpieczeństwa dzielnicy międzynarodowej z jej konsulatami i dobrze uzbrojonymi europejskimi i amerykańskimi żołnierzami. W tym starym chińskim domku mieszkał zupełnie sam i ustawicznie dochodziły go odgłosy walk, a także był często ich naocznym świadkiem. Nędza i cierpienie, którego było tak wiele ma każdym kroku, były czymś naprawdę okropnym. Ogień armatni niszczył niejednokrotnie całe domy, dużo ubogich ludzi było bez dachu nad głową, namnożyło się żebraków, tak że w dawało się, że ich na każdej ulicy się aż roi i zewsząd dochodziły ich rozpaczliwe wołania: "Chleba! Chleba!" Nie było to wcale czymś rzadkim, że oczom jego przedstawiał się widok wleczonego za warkocz wziętego do niewoli żołnierza, któremu miano za chwilę uciąć głowę, często też słyszał krzyki torturowanych ofiar. Tę właśnie ulicę, na której mieszkał, żołnierze cesarscy mieli zamiar spalić i wygrażali, że to uczynią, dlatego też za każdym razem, gdy Hudson udawał się na spoczynek, kładł się ze świadomością, że będzie może musiał wśród nocy się zrywać i uciekać, aby ująć z życiem - jeszcze zanim nastanie ranek. Dlatego też co wieczoru, przed udaniem się do łóżka sprawdzał, czy jego pas ratunkowy jest odpowiednio nadmuchany, był bowiem gotowy na wypadek nagłego ataku wskoczyć do kanału i popłynąć na stronę dzielnicy międzynarodowej.

Było to rzeczywiście niemiłe uczucie, być samemu w górnych pokojach tego starego domu, w którym znajdowało się mnóstwo rozmaitych przejść, korytarzy i przybudówek, dlatego też często otwierał swoją Biblię, aby, przeczytać jakieś pokrzepiające ducha miejsce, zanim klękał do modlitwy. Za każdym razem jednakże czuł, jak odchodzą od niego wszelkie strachy, a w sercu jego odzywał się upewniający i pocieszający głos strzegącego go Wszechmogącego, tak że kładł się spać z takim spokojem serca, jak ongiś, gdy był jeszcze małym dzieckiem, a jego mama opowiadała mu coś tak długo, aż usnął.

Pomimo ustawicznego niebezpieczeństwa i wielkiego ubóstwa i smutku, który go otaczał ze wszystkich stron, czuł się jednak obecnie szczęśliwszy, żyjąc pomiędzy samymi Chińczykami, aniżeli poprzednio pomiędzy Europejczykami w dzielnicy międzynarodowej. Pomaganie choć trochę w potrzebie cierpiącym, napełniało go głębokim wewnętrznym zadowoleniem. Jego umiejętności z dziedziny medycyny zaczęły mu się tutaj przydawać w bardzo dużej mierze, a co więcej, już umiał nieco władać językiem chińskim, co oznaczało, że mógł rozmawiać z ludźmi o Bogu, o Synu Jego Jezusie Chrystusie, mógł prowadzić małe nabożeństwa dla dzieci, coś w rodzaju Szkółki Niedzielnej razem z pewnym wierzącym Chińczykiem, z którym też wychodził razem na wąskie uliczki, nad którymi wprost wisały balkony, gdzie było pełno długich szyldów z tkanin, kołyszących się nad balkonami i wydymających się na wietrze jak żagle, a tam rozdawali traktaty i wszczynali rozmowę z wszystkimi, którzy mieli chęć choć kilka słów z nimi zamienić. Jego towarzysz ponadto udzielał dzieciom lekcji w zakresie ogólnym - i w ten sposób Hudson nareszcie wykonywał to zadanie, dla którego przybył do tego kraju. Dlatego też sama myśl, że będzie musiał tę dzielnicę opuścić, napełniała go smutkiem. A jednak zdawał sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie będzie musiał to zrobić. Zmagania wojenne przybliżały się z każdym dniem, a działa rebelianckie znajdowały się już u wylotu ulicy, na której mieszkał, w gotowości do odparcia ataku wojsk cesarskich. Gdyby miał odpowiedzialność tylko za siebie, byłoby pół biedy, w takim wypadku byłby się zdecydował zaryzykować i pozostać bez względu na to, co się stanie. Ale właśnie otrzymał wiadomość z Towarzystwa Ewangelizacyjnego Chin, że wysyłają jeszcze jednego pracownika, którego przyjazd Hudson miał przygotować, a mianowicie niejakiego Doktora Parkera, który już był w drodze do Chin wraz z żoną i trojgiem małych dzieci! Było by to rzeczą wykonalną, aby zaprosić drugiego jeszcze mężczyznę do współpracy i zamieszkania razem z nim w tej tak bardzo niebezpiecznej dzielnicy - ale wprost nie do pomyślenia było ściągnięcie tam matki z trojgiem bezradnych małych dzieci! Dlatego też Hudson zdawał sobie sprawę z tego, że będzie musiał przemieścić się do międzynarodowej dzielnicy, chyba, że sytuacja ulegnie radykalnej poprawie.

Pewnej nocy obudził go nagle - po kilku zaledwie godzinach snu - jakiś trzask, gwałtowne krzyki i blask

dziwnego światła, które zalało jego pokój. To był pożar! Wśród drewnianych domków stojących jeden przy drugim, pożar szerzył się z straszliwą szybkością, o czym Hudson dobrze wiedział, toteż błyskawicznie wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać. Sytuację pogarszał wiatr, dący dosyć silnie. Tak więc czerwona łuna, która oświeciła jego pokój, zdawała się przybierać na sile i jasności. Postanowił wejść na dach i sprawdzić, gdzie w tej chwili pożar się znajduje, i ku swemu przerażeniu stwierdził, że płoną już domy niemalże w najbliższym sąsiedztwie! Na dodatek do uszu jego doleciał już mu i tak dobrze znany odgłos strzelaniny, i w tym momencie, gdy dokonywał swoich obserwacji z dachu, na sąsiednie budynki posypał się grad pocisków. Hudson się pochylił, ale nie odrywał wzroku od pożaru. Wyraźnie widział kłęby dymu i płomienie, które jak czerwone węże podnosiły się w górę gwałtownie nad zagiętymi dachami, słyszał też odgłosy podnieconych rozmów i krzyki na ulicy. Nie mógł dokładnie dojrzeć, co się tam działo, ale w duchu się modlił a gorąco prosił Ojca Niebieskiego, aby go zechciał ochronić.

W tym samym momencie, gdy, on się modlił, zaczęły spadać pierwsze krople deszczu i ucichł wiatr. W następnej chwili kula armatnia ugodziła w dach domu, znajdującego się po przeciwnej stronie ulicy, przy czym odłamki, dachówek przeleciały tuż obok jego głowy, tak że wreszcie Hudson sobie zaczął uświadamiać, że jego obecne miejsce pobytu nie jest ani bezpieczne, ani wygodne!... Zesunął się więc z powrotem do swego pokoju, wdzięczny za to, że deszcz z stawał się coraz bardziej rześisty i za to, że wiatr się uciszył. Pożar stopniowo zaczął przygasać, aż wreszcie o piątej rano, widząc, że już nie zagraża mu żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo, Hudson położył się z powrotem do łóżka, aby jeszcze się przespać przez jedną lub dwie godziny przed rozpoczęciem swej codziennej pracy...

Strzelanina i bitwa były teraz w tej okolicy niemal na porządku dziennym, a więc nie pozostawało nic innego, jak poszukać mieszkania dla Parkerów i ich trojga dzieci w dzielnicy międzynarodowej. Po długich bezowocnych poszukiwaniach udało mu się wreszcie wynająć trzy pokoje na pierwszym piętrze w jednym z zabudowań należących do Londyńskiego Towarzystwa Misyjnego, cała bowiem ta dzielnica była ogromnie przeludniona. Już dwa dni potem Parkerowie przybyli na miejsce, a Hudson, mający zaledwie dwadzieścia dwa lata i osiem miesięcy pobytu. w Chinach, stał się odpowiedzialnym za całą rodzinę!